

# Wielka Brytania (1966)

Rozpędziłem się we wspomnieniach i postanowiłem napisać coś o wyjeździe do Wielkiej Brytanii w 1966 roku, w tym o pobycie w Leverington Camp koło Wisbech, takim, jakim go zapamiętałem. Utrwały mi się oczywiście tylko fragmenty, bo minęło wiele lat, ale obrazy mam przed oczami. Notatek nie sporządziłem albo nie zachowały się.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku trudno było z Polski wyjechać do krajów Europy Zachodniej. Było jednak parę możliwości i jedną z nich wykorzystałem. Najpierw dowiedziałem się od kolegi ze studiów, Stefana Janeczka, o istniejących w Wielkiej Brytanii obozach dla studentów. Jednym z ich organizatorów był National Union od Students. Napisałem list, przysłali materiały i zarezerwowali miejsce. Mój stryj, który służył w Armii Polskiej na Zachodzie, brał udział w bitwie pod Dunkierką, był ewakuowany do Anglii, został tam i dopiero po uzyskaniu emerytury powrócił, właśnie w 1966, roku do Polski. Spędzał u nas w domu, w Katowicach-Ligocie, sporo czasu. Poprosił swojego znajomego z Londynu o przysłanie dla mnie zaproszenia. I tak udało mi się wyjechać w lipcu tegoż roku. Pociąg jechał przez Berlin do Hoek van Holland. Przejeżdżając przez Holandię, widziałem rozświetlone domy. W oknach nie było zasłon. Dalej promem do Harwich, a stamtąd do Londynu koleją. Nikt po mnie nie wyszedł. Umawialiśmy się, że dam sobie radę. Językiem angielskim nie władałem zbyt dobrze, ale jakoś po czterech latach nauki w liceum i czterech semestrach lektoratu na studiach nie powinienem się zgubić. Były autobusy zielone i czerwone. Jechałem na raty. Raz chciałem wsiąść, ale mnie konduktor nie wpuścił, bo wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Później wyjaśniono mi, że w autobusach tylko się siedzi, a nie stoi. To była dla mnie nowość. Pamiętam panią, która po wyjściu z autobusu w dzielnicy, do której przyjechałem, widząc mnie rozglądającego się dookoła zapytała się: Can I help you? No i jakoś dobiłem do miejsca czasowego zamieszkania w Londynie. Dwa tygodnie spędziłem na zwiedzaniu miasta. Mieszkałem w Enfield, jednej z północnych dzielnic. Przybysza zza żelaznej kurtyny interesowało wszystko. Pewnego dnia wybrałem się piechotą do centrum. Zajęło mi to kilka godzin. Innym razem pojechaliliśmy z państwem Durajów na grzybobranie poza miasto. Jeszcze innego dnia na zwiedzanie ważniejszych budowli. Między innymi z wieży jednego z kościołów rozciągał się wspaniały widok miasta. O nim przypominały mi zdjęcia wówczas zrobione. Wstępowałem do sklepów, oglądałem witryny, rozglądałem się wokół, jakbym miał głowę „gwintowaną”. Jeździłem także metrem i autobusami piętrowymi. W tym ostatnim środku lokomocji starałem się siedzieć na górze, na samym przodzie, bo tam było lepiej widać. Zaliczyłem oczywiście gabinet figur woskowych, ale nie zwiedziłem British Muzeum. Niestety.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu do Wisbech. Pamiętam dobrze, że w pociągu jadącym chyba przez Cambridge poznałem dwóch Greków, którzy także jechali do Leverinton Camp. Jednym z nich był Tasos. Byliśmy zakwaterowani w dużych jakby namiotach czy hangarach. Moim sąsiadem z lewej strony był Jamajczyk. Żywiliśmy się w jakimś budynku obok. Była tam większa sala, w której odbywały się też potańcówki. Zapamiętałem dwie dosyć ładne Szwedki, do których próbowali dobierać się Amerykanie, ale one wołały małego Paco z Hiszpanii i ignorowały tamtych albo im robiły na złość. Obok głównego pomieszczenia był pokój ze stołem do gry w ping-ponga. Często tam grywałem z Tassosem i jakimś Słoweńcem z Lublany. Jednym z pingpongistów był Anglik. Zaczął ze mną rozmawiać, jednak niewiele rozumiałem z tego, co mówił. Prosiłem go, aby mówił wolno i wyraźnie. Z nie-Anglikami nie było problemu. Ze Słoweńcem wybraliśmy się

któregoś dnia do nadmorskiej miejscowości Hunstanton, gdzie pierwszy raz zobaczyłem odpływ morza. Trochę żałuję, bo w tym samym dniu część studentów pojechała do Cambridge. No, ale wszystkiego się zwiedzić nie da. Pamiętam też Toma, kucharza. Miał gramofon, a ja kupiłem w Wisbech 2 płyty z nagraniami Errola Garnera i Lestera Younga. On też lubił jazz. Miał nagrania Jimmiego Smitha na organach, które bardzo mi się spodobały. Podczas wieczornych spotkań cały czas słyhać było popularny utwór Chrisa Monteza *The more i see you*, niemal do znudzenia.

Dobrze zapamiętałem mecz piłki nożnej na boisku niedaleko obozu, a to dlatego, że jeden z graczy kopnął mnie w kostkę (grałem boso) tak mocno, że musiałem jechać z Tomem do szpitala w Wisbech na opatrunek i założenie gipsu. Parę dni miałem przymusową pauzę i nie chodziłem do pracy, przez co nic nie zarobiłem, ale i tak płacili stosunkowo marnie. Nasza praca to było zbieranie śliwek i gruszek w sadach oraz dosyć częste wyjazdy do fabryki produkującej warzywa w puszkach. Wbił mi się w pamięć pierwszy dzień. Siedzieliśmy wiele godzin, obierając końcówki fasoli. Było to dosyć nudne. Zauważyłem, że od czasu do czasu podchodził brygadzysta i brał jednego z siedzących z brzegu taśmociągu na inne stanowisko. W następne dni siadałem zawsze na skraju i w ten sposób praca była bardziej urozmaicona. W Leverington zaprzyjaźniłem się również z przesympatycznym i przyjacielskim Portugalczykiem z Cascais, Manuelem Rei Vilarem, co zaowocowało wyjazdem w latach siedemdziesiątych, z moim kolegą, do Portugalii. Manuel to poliglota, zna dobrze 5 języków. Obecnie jest emerytowanym profesorem na jednym z uniwersytetów paryskich. O nim więcej przy okazji podróży do Portugalii. Z kilkoma poznanymi wówczas osobami korespondowałem, ale krótko, kontakty się urwały. Jedynie w końcu lat osiemdziesiątych, kiedy podróżowałem sam po Grecji, postanowiłem odwiedzić Tassosa w Atenach. Spotkaliśmy się w Rethymnon na Krecie.

Z Leverington Camp wróciłem do Londynu, a po mniej więcej tygodniu do Polski. Pamiętny mecz piłkarski między Tottenhamem Hotspur a Manchesterem United oglądałem już po przyjeździe z Wisbech. Na stacji kolejowej, o ile dobrze pamiętam, to Liverpool Street, udało mi się kupić jeszcze płytę z Sidneyem Bechetem.

Na promie z Harwich do Hoek van Holland przysiadłem się na obszernym pokładzie, już o zmroku, do dziewczyny sączącej jakiś napój. Zagadałem. Okazała się Holenderką. Po rozmowie zaproponowała mi przejść na pokład 1 klasy i tam przespać się w korytarzu na wygodnych kanapach. Miałem trochę pietra, żeby mnie nie skontrolowali. Byłem przecież bez odpowiedniego biletu. Jakoś wytrzymałem do rana. Ponownie, przepychając się wzdłuż przedziałów, zobaczyliśmy się w pociągu do Utrechtu. Zapytałem ją gdzie najlepiej wysiąść i co zwiedzić. Yvonne nie miała już pieniędzy, a ja tylko resztki. Zdałem się na jej propozycję „obejrzenia Holandii w jeden dzień”. Policzyła funty, wymieniła na guldeny i nie zastanawiając się wybrała Amsterdam, do którego jechało się pociągiem około pół godziny. Najpierw jednak spacer po centrum Utrechtu. Amsterdam wspominam z przyjemnością. Pełno kanałów, zwodzonych mostów i charakterystyczne turystyczne stateczki pływające po nich. Popłynęliśmy więc i my. Rejs obejmował poza kanałami także port. Potem wstąpiliśmy do pałacu królewskiego chyba i jakiegoś muzeum zwiedzić wystawy. No i oczywiście spacerowaliśmy po ulicach, z krótkimi przystankami na odpoczynek. Starczyło jeszcze na kanapki. Wieczorem wróciliśmy do Utrechtu. Stamtąd Yvonne pojechała do Nijmegen, gdzie mieszkała, a ja do Berlina Zachodniego. Wsiadłem na dworcu ZOO i udałem się podmiejską linią kolejową do jakiegoś domu studenckiego. Adres, który dostałem od Niemca na obozie, okazał się dobry, ale niestety osoba, z którą miałem się skontaktować, gdzieś wyjechała. Pogadałem w kuchni z dziewczynami, które akurat coś gotowały. No i na miasto. Po południu, już zmęczony – cały dzień chodziłem, ale nic nie jadłem – przysnąłem w jakimś parku na trawie. Nocnym pociągiem wróciłem do Poznania. Na stacji kolejowej zaraz wrąbałem porządną porcję bigosu.

Trochę obawiałem się o paszport. Miałem jedynie wizę tranzytową, a nie jechałem ciurkiem, tylko wysiadałem dwukrotnie, co było zabronione. W paszporcie na granicznych stemplach daty były wyraźne. Mogli się przyczepić. Jakoś mi uszło. Tak w dużym skrócie zapamiętałem mój wyjazd do Leverington Camp.

### **Przebieg trasy**

Wyjazd na przełomie lipca i sierpnia  
Katowice–Poznań (pociąg)  
Poznań–Londyn (pociąg i prom)  
Londyn–Wisbech (pociąg tam i z powrotem)  
Londyn–Poznań (pociąg i prom)  
Poznań–Katowice (pociąg)  
Przyjazd około połowy września

Napisał jesienią 2024 roku Eugeniusz Tomczak

@ Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak